

IUSTITIA

VARIA

Zapiski wolontariusza (marzec 2022 r.)

Grzegorz Kurdziel*

Dworzec kolejowy, Wrocław, 10.3.2022 r.

Trzy godziny. Zapisy są bardzo proste, wystarczy wypełnić formularz online. Chętnych jest tylu, że trzeba się zapisywać z kilkudniowym wyprzedzeniem. Idę do Cafe Stacja Dialog, gdzie dostaję żółtą kamizelkę i identyfikator wolontariusza. Od razu ktoś mnie pyta: „Wolny?” Odpowiadam, że wolny. „Trzeba to zanieść do biblioteki”. Dostaję wielkie pudło wypełnione po brzegi zabawkami, na nim jeszcze rulon maty dla dzieci. Wjeżdżam ruchomymi schodami na galerię, na schodach zbieram kilka zabawek, które powypadały z pudła. W bibliotece pełno rozgrzebanych miejsc do spania, materace, kołdry, poduszki. Stawiam pudło obok innych, już niemal w całości opróżnionych z zabawek i zaraz podbiega gromadka ciekawych, rozbawionych dzieci.

Wracam do punktu, gdzie kierują mnie „pod zegar”. Po chwili przychodzi koordynator ubrany w pomarańczową kamizelkę. Jest na oko dwa razy młodszy ode mnie. „Teraz, dzieci, jesteście pode mną!” – mówi, pociągając nosem i nie kryjąc dobrego humoru. „Idziemy na perony. Zaraz przyjeżdża opóźniony pociąg z Przemyśla. Obstawiamy każdy z wagonów po jednej osobie przy wyjściach i po dwie osoby pośrodku. Pomagamy w wysiadaniu, kierujemy uchodźców do punktu informacyjnego, pytamy czy można im jakoś pomóc. Ruszamy!”

Pierwsza rodzina: babcia z córką i wnuczką. Może zostaną we Wrocławiu, a może pojadą dalej do Świdnicy, gdzie łatwiej o nocleg. Biorę ich bagaże wraz z dwiema wolontariuszkami. Idę przy babci, która zostaje w tyle. Gubimy resztę rodziny w tłumie, więc wychodzimy przed dworzec.

Babcia uświadamia sobie, że nie ma telefonu do córki, bo w Polsce otrzymały karty telefoniczne i mają nowe numery. W końcu dzwoni do kogoś, kto zna nowy numer telefonu córki. Jest mocno zdenerwowana, z pozoru nieadekwatnie do sytuacji. Wychodzi potworne zmęczenie, stres, niepewność jutra. Nie ma rozpacz. Jest wielkie napięcie, potrzeba spokoju i odpoczynku.

Druga rodzina. Wychodzą po kolei z wagonu: babcia z siostrą, córką i dwojgiem wnucząt. Każde z nich trzyma jakiś bagaż. Babcia – box z kotem, a jedno z dzieci – mniejszą klatkę przykrytą kocikiem. Pomagam im wysiąść z wagonu i przejmuję część pakunków. Zostają we Wrocławiu. Są już umówieni przed dworcem ze znajomymi, którzy mają dla nich miejsca. Stajemy przed wejściem. Pytam dziewczynkę, co jest w tej małej klatce. „Kotek?” „Niet” – odpowiada, uśmiechając się. „Sobačka?” „Niet”. W końcu jej mama lekko podnosi kocyk. Z ciemności spoglądają na mnie piękne czerwone oczka i wąsate pyszczki dwóch czarno-białych, wtulonych w siebie szczurków.

Trzecia rodzina. Małżeństwo w średnim wieku. Mają tylko dwie gustowne walizeczki. Tyle zabrali ze swojego dotychczasowego życia. Jechali bez przerwy trzy doby z miasteczka na wschodzie Ukrainy położonego 40 km od granicy z Rosją. Przesiadali się w kilka autobusów z niewygodnymi siedzeniami i w kilka pociągów. Widzieli i słyszeli wojnę. Dosłownie uciekali przed wybuchami. Ostatnią dłuższą, dwugodzinną przesiadkę mieli we Lwowie. Przyjechali do Wrocławia, by odpocząć przez parę dni i zrobić zakupy. Nie chcą darmowego noclegu. Rezerwuję im pokój w pobliskim hotelu. Idziemy jeszcze do kantoru wymiany walut i zawożę ich do hotelu. Ona Ukrainka, on Irakijczyk. Najpierw uciekał przed wojną z Iraku, teraz przyszło mu uciekać z Ukrainy. Mają dość ucieczek. Już nie chcą mieszkać w Europie. Potrzebują bezpieczeństwa. Za kilka dni wylatują z Polski lub z Niemiec do USA.

Zmarznięty siedzę w Cafe Stacja Dialog i piję przygotowaną przez wolontariuszy herbatę. Przed wejściem do kawiarenki – głównego sztabu wolontariuszy – czekają dwie kolejki: uchodźców i ludzi przynoszących dary. Wolontariusze przenoszą i sortują podarowane rzeczy. Nieprzerwany potok pomocy. Czuję się jakby nieobecny, przytłoczony faktami. Jutro znów dyżur.

* Sędzia Sądu Rejonowego dla Wrocławia-Śródmieścia.

Dworzec autobusowy, Wrocław, 11.3.2022 r.

Podchodzi do mnie kierowca autobusu, prosi o wyniesienie niepełnosprawnej kobiety z wózkiem inwalidzkim z autobusu. Mam problemy z barkiem, więc podprowadzam kierowcę do dwóch roślących pracowników ochrony dworca, stojących beczynnie w hali dworcowej cały dzień. Odmawiają pomocy, bo nie zajmują się obsługą osób na wózkach inwalidzkich. Biorę do pomocy innego pasażera i zjeżdżamy w podziemia dworca. Na szczęście kobieta w średnim wieku może poruszać nogami, choć jest bardzo słaba. Sprowadzam ją przez środkowe drzwi autokaru. Siada dla odpoczynku na każdym stopniu. Płacze z niemocy. Przyjechała sama z Ukrainy i chce się dostać do Berlina. Przeprowadzam ją do hali dworca PKP. Słyszałem, że z biletami kolejowymi do Niemiec ciężko, że pociągi zajęte. Pewnie będzie musiała przemocować we Wrocławiu lub okolicy. Raczej w okolicy, bo miejsc noclegowych we Wrocławiu brakuje. Opiekę nad panią przekazuję innym wolontariuszom, sam muszę wracać na dworzec autobusowy, bo tam tłumacz niezbędny. Zabieram jeszcze z centrum dwie osoby do pomocy.

Pani z niepełnosprawnym synem, cierpiącym na niezwykle rzadką chorobę genetyczną. Takich jak on osób jest na świecie jedynie około 30. Potrzebuje pomocy przy wsiadaniu do autobusu, który przyjedzie za 2 godziny, po drodze musi jeszcze odebrać bagaże ze schowka. Jadą do Berlina, licząc na uzyskanie pomocy medycznej i opiekę społeczną. Syn miał mieć rok temu specjalistyczną operację w Belgii, ale musieli odwołać, bo matka przeszła trepanację czaszki. Obecnie potrzebowałaby drugiej trepanacji, ale muszą teraz uciekać. Chce być wysłuchana. Potrzebuje z kimś porozmawiać. Opowiada ze spokojem. Tylko gdy mówi o przyszłości, o nadziejach na wyzdrowienie syna i własne, w jej głosie rośnie drżenie, a oczy stają się szkliste.

Pani w wieku ok. 70 lat z wielką walizką. Uciekła sama. Chce się dostać do córki w Niemczech. Ma kupiony bilet autobusowy. Jej autobusu nie ma na tablicy w holu dworca. Nie wie, z którego stanowiska odjeżdża jej autokar. Idę do informacji, gdzie pracuje jedyna miła osoba na tym dworcu. Autobus odjeżdża z... peronu dla wysiadających. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, więc prowadzę kobietę na ten peron. Pani ma spokój i nadzieję w oczach. Ściskam ją na pożegnanie i życzę szczęśliwej podróży.

23-letni chłopak pyta mnie, z którego stanowiska odjeżdża jego autobus do Drezna. Algierczyk, studiował i pracował

w Charkowie. Teraz jedzie do Francji. Na razie ma bilet do Drezna. Spoglądam na bilet i okazuje się, że może wsiąść nie na dworcu, lecz na przystanku przy ul. Norwida (ok. 2 km dalej). Idziemy do kas Flixbusa. Nie da się zmienić biletu a kierowca na dworcu nie musi go wpuścić. Zawożę więc Algierczyka na Norwida. Mówi mi po drodze: „W Charkowie jest teraz strasznie. Chowałem się przed wybuchami. Widziałem zabitych”.

Moje 3 godziny dyżuru już się skończyły, ale wracam na dworzec autobusowy, zostaję tam na kolejne 4. Około godziny 23.00 podchodzi mężczyzna z biletami Flixbusa kupionymi przez internet. Sasza. Ma wraz z żoną i kilkuletnią córką bilety do Wiednia i na drugi autobus z Wiednia do Monachium. Skarzy się, że kobieta z mikrofonem chodząca po hali autobusowej w podziemiach powiedziała mu godzinę temu, że jego autobus będzie opóźniony około godziny, a teraz pani z okienka informacyjnego w poczekalni powiedziała, że autobus już odjechał. Na tablicy odjazdów brak jest informacji o kierunkach, w których odjeżdżają autobusy Flixbusa/Sindbada. Jest jedynie nazwa przewoźnika i godzina odjazdu. Taka sama dla dziesięciu autobusów. Dla cudzoziemców jest to bardzo duże utrudnienie. Okazuje się, że autobus, którym mieli jechać, to chyba kierunek Rijeka. Pani w informacji nie sprzedaje biletów Flixbusa tylko Polbusa. Biuro Flixbusa jest już zamknięte. Sasza mówi, że wydał na bilety ponad 200 dolarów i już nie ma pieniędzy. Kieruję go do centrum pomocy na dworzec PKP. Musi znaleźć nocleg dla rodziny, a jutro wyklócić się o zwrot pieniędzy z Flixbusa w związku z niewystarczającą informacją dworcową, a potem dostać się do Niemiec płatnym autobusem lub bezpłatnym pociągiem. Życzę mu powodzenia.

Czy może pan pomóc w tłumaczeniu? Pytają dwaj Polacy. Tak. Rozdrażniona Ukrainka ze łzami w oczach chce się dostać wraz z córką do Liberca. Rozdzieliła się z resztą rodziny, która tam na nią czeka. Idziemy do kasy. Dzisiaj już żaden autobus do Czech nie odjeżdża. Dopiero jutro o 14.45. Już była w centrum na dworcu PKP. Może pojechać bez rejestracji do noclegowni koło lotniska, a jutro po południu może tu przyjechać na autobus, ale bilet jest drogi. Kobieta jest bardzo smutna, jej wzrok gdzieś błądzi, staje się coraz bardziej nieobecny. „Dobra” - mówi jeden z mężczyzn - „Ja ją jutro zawiozę autem do tego Liberca”. Wymieniają się telefonami. Opuszczają dworzec.

„Można kawki?” - pyta podchmielony facet wolontariuszki pilnującej stanowiska na dworcu autobusowym. „Nie, to dla uchodźców. Tam stoi automat na kawę”. „A kto to

finansował?” – pyta, wskazując na pudełka z pluszakami, słodyczkami, soczkami i kredkami dla dzieci. „To z darów”. „A na waszych kamizelkach gwiazdki z Unii Europejskiej” – ciągnie dalej zaczepnie. Nikomu z wolontariuszy nie starcza ochoty na kontynuację rozmowy. Odwracamy się ostentacyjnie plecami.

Dworzec kolejowy, Wrocław, 13.3.2022 r.

Niedzielne popołudnie. Wczoraj odpoczywałem w domu. Wracam na dworzec. Wyznaczam sobie granice dyżuru tłumacza do 6 godzin, bo w domu jednak czeka pies. W wolontariacie jest coś niepokojąco uzależniającego, chcę jeszcze i jeszcze. W uszach kołaczą mi się rady przyjaciół: „Nie wolno zatracić się w pomaganiu. Trzeba umieć pomagać i przede wszystkim należy zadbać o siebie, zatroszczyć się o własne potrzeby. To jak w samolocie gdy wypadają maski tlenowe, rodzic najpierw powinien założyć maskę sobie, a dopiero potem dziecku”. Dojeżdżam do dworca kolejowego wyspany, nakarmiony pysznościami przez rodziców. Z poczuciem, że niczego mi nie brak.

Pobieram identyfikator tłumacza i od razu zostaję skierowany na peron, gdzie spotykam Swietlanę, ekspedientkę z mojego sklepiku osiedlowego, Ukrainkę, która wypytywała mnie dwa dni temu o wolontariat. Oto i sama przyszła, po cało-sobotnim dyżurze w pracy. „Jestem tu od rana” – mówi z entuzjazmem. Jest w dobrym nastroju, dużo żartuje. Przechodzimy na ty”, choć trudno jej przestawić się z modelu relacji ekspedientka – klient „Żabki” i jeszcze parokrotnie zwraca się do mnie per „Pan”.

„Uwaaaaaaagaaaaa Poooooooooocoooooooooag!” – krzyczy ile sił w płucach jeden z koordynatorów. Na peron wtaacza się intercity z Przemysła. Odbieram większe pakunki od wysiadających z „mojego” wagonu. Głowa za głową wysiada z pociągu i znika w tłumie. Wszyscy potrzebujący otrzymują pomoc przy wysiadce. Nie liczy się narodowość, a tylko wielkość walizek utrudniająca przeskok z wagonu na peron, tamująca płynność wysiadania.

Kobieta koło 50-tki z wyraziście pomalowanymi na czerwono ustami zwraca się o pomoc dla siebie i rodziny. Ustawiam ich siódmkę wraz z wieloma bagażami pośrodku peronu, z dala od torów. Trójka dorosłych i czwórka dzieci. Chcą dostać się do Pragi, a docelowo do Karlovych Warów. Najlepiej od razu i bezpośrednio. Dojechali do Wrocławia, bo ktoś ich poinformował, że do Pragi właśnie stąd najdogodniej się dostać. Ustalam w internecie, że od 1 marca do

30 kwietnia z powodu remontu trakcji połączenia z Wrocławia do Pragi są wstrzymane. Mogą próbować autobusem, ale gdy zliczam sumę za bilety dla siódmki, tylko łapią się za głowy. Pozostaje więc opcja bezpłatnego pociągu. To parę godzin czekania. No i muszą jechać z powrotem na wschód, do Ostrawy, gdzie mają przesiadkę. Dziś rano wjechali do Polski. Ich poprzedni pociąg na odcinku między Lwowem a granicą został ostrzelany. Widzieli też rakiety prujące niebo. Myśl o poruszaniu się „nazad”, w kierunku Ukrainy, wywołuje u przybyszów nieudawaną histerię. Lamentują tylko dorośli. Dzieci zdają się nie rozumieć sytuacji. Tłumaczę ze spokojem, jak najłagodniej, że we Wrocławiu jak i na terenie całej Polski, także na wschodzie, jest bezpiecznie i żadne rakiety ich tu nie dopadną. Swietłana potakuje, uśmiecha się i kładzie rękę na ramieniu kobiety z wyrazistymi ustami. Uspokajają się nieco dopiero, gdy mrują jedno oko i, lekko się uśmiechając, mówię, że gdyby było inaczej, to tutaj już nikogo z nas wolontariuszy by nie było i wszyscy ze wschodu Polski, jak i my tutaj ucieklebimy na zachód. Na ich twarze powoli napływa odprężenie. Wraz ze Swietlaną i jeszcze jednym wolontariuszem zabieram walizki i prowadzę rodzinę do poczekalni dla rodzin z dziećmi, znajdującej się na piętrze dworca. Ze zgiełku, chłodu, ostrego światła dworcowego i wielkiej przestrzeni wchodzimy w zaciszne, przyciemnione i ciepłe wnętrza noclegowni, udostępnione zaledwie przed kilkoma dniami przez BWA, które prowadziło tam miejską galerię sztuki. Pomieszczenie przedzielono parawanami z białego płótna na prostokątne boksy, każdy o powierzchni trzech legowisk wyposażonych w materace, koce, kołdry i poduszki. Wolontariuszka opiekująca się noclegownią cudem znajduje trzy wolne boksy obok siebie. Zostawiam całą rodzinę, informuję gdzie jest toaleta i namioty z bezpłatnymi gorącymi posiłkami i napojami. Zabieram w stronę kas Czerwonoustą, trzymającą za rękę około 10-letniego syna, przecierającego zamykające się z niewyspania oczy. „Mieliśmy do Wrocławia bezpłatne bilety. Ale bez gwarancji miejsc. Było bardzo dużo pasażerów. Przeganiiali nas z miejsca na miejsce w tym pociągu, bo nie mieliśmy miejscówek” – skarży się matka. Kolejka do kas snuje się długim zawijającym węzłem. W końcu odbieram siedem bezpłatnych biletów. Pytam, czy mają gwarancję miejsc. Kasjer zaprzecza głową i rozkłada ręce: „A czego się pan spodziewał, proszę spojrzeć za siebie” – i kieruje nos w stronę tłumu kolejkowiczów. Odchodzę od kas i zastanawiam się, jak przekazać Czerwonoustej informację o braku miejscówek. Mówię krótko i zdecydowanie, że gwarancji miejsc nie ma, nie można jej nijak zdobyć „i wso”. Rozumie. Nie narzeka. Jest pogodzona. Odprowadzamy kobietę do noclegowni. W drodze powrotnej jeszcze proszę ochotniczkę z WOT o obudzenie całej rodziniki na 40 min przed odjazdem pociągu do Ostrawy, bo mam wrażenie, że mogą przespać odjazd.

Namawiam Swietłaną na krótki spacer na dworzec autobusowy, bo mamy jeszcze 30 minut czekania na podróży z kolejnego pociągu z Przemyśla. Chcę sprawdzić, czy czegoś tam nie potrzeba i jeszcze jedną rzecz. Gdy dyżurowałam na autobusowym dwa dni wcześniej, podeszła do mnie zatroskana dziewczyna. Jakiś nieznajomy poprosił ją, by popilnowała mu przez 10 minut olbrzymią walizkę z plecakiem. Po 40 minutach mężczyzna wciąż nie wracał, a jej zaraz odjeżdżał autobus i nie wiedziała, co ma robić. Nie знаła nawet imienia właściciela walizki. Potrafiła tylko opisać go jako wysokiego szczupłego faceta z lekko zaczerwienioną twarzą. Ochrony ani policji już nie było. Odebrałem od niej wtedy wraz z pozostałymi wolontariuszami tę walizkę i postawiliśmy ją za filarem. Dziś, po dwóch dniach, okazuje się, że walizka z plecakiem nadal sobie stoi w tym samym miejscu. Jej właścicielem mógł być każdy: napity podróży, zapominalski, ktoś, kto wybrał porzucenie bagażu i zabranie się ostatnim autobusem, albo rosyjski dywersant (czemu nie?) Wprawdzie bagaż przez 48 godzin nie wybuchnął, ale jednak... Podchodzę do pracownika ochrony dworca autobusowego i zgłaszam mu sprawę bezpieczeństwa bagażu, opowiadając całą historię. Wzrusza ramionami i nie podejmuje żadnych działań. „Jeśli wybuchnie, to pan stoi najbliżej” – mówię mu na odchodne, zdenerwowany kompletną biernością służb dworca autobusowego.

Idziemy na peron. Dołącza koordynator wolontariuszy, który opowiada, że „na Ukrainie”... (Ludzie! Przyimek „na” brzmi tu strasznie protekcyjnie, wręcz kolonialnie! Używajmy zwrotu „W Ukrainie”! Tak samo jak w Niemczech, w Polsce. Ukraina to niepodległe, suwerenne państwo, a nie jakieś ziemie niczyje!) ... w mniejszych miejscowościach nie ma żadnej pracy ani możliwości rozwoju, inaczej niż w Polsce, i dlatego Ukraińcy nie chcą się kwatrować u nas w mniejszych ośrodkach. A ponieważ większe miasta są już mocno nasycone Ukraińcami, ci wołają jechać dalej, do Niemiec, Francji...

Robimy sobie ze Swietłaną przerwę na herbatę. Jest godzina 21:00. Siedzimy w Cafe Stacja Dialog i żartujemy z innymi wolontariuszami. Dwaj z nich mają koloratki. Nagle Swietłana sobie uświadamia, że od śniadania nic nie jadła. Wygania ją do domu. Tam czeka na nią narzeczony. Już do niej dzwonił wcześniej z pytaniem, czy w ogóle pamięta, że ma dom i czy zamierza do niego wracać. Jest maszynistą składów towarowych. Wozi ostatnio na wschodnią granicę jakieś specjalne transporty, ale nic jej o nich nie może powiedzieć.

Wychodzę do hali dworcowej, mijam duże plastikowe pudło z zabawkami, nad którym z każdej strony pochylają się uwieszone na jego krawędziach szkraby. Z naprzeciwka zbliża się młody Ukraińiec. Do wniosku, że jest to kontuzjowany wojownik, skłania mnie kolor khaki jego całego ubrania, świadczący o tęsknocie za mundurem, głowa ostrzyżona na grubość zapalki, wreszcie kuśtykanie na prawą nogę. Ma zaciętą minę. Porusza się nienaturalnie drobnymi, aczkolwiek szybkimi krokami. Stara się nie pokazywać, że każdy krok okupuje dużym bólem. Zdradza go tylko pot na czole, osobliwie zjawiskowy w mroźnej dworcowej atmosferze.

Wiele rodzin z dziećmi przesiaduje godzinami w hali dworca. Są zmęczeni podróżą, strauumatyzowani ukraińskimi wspomnieniami z wojny, bierni, zastygli, jakby zawieszani w czasie i przestrzeni, przycupnięci przed kolejnym etapem drogi. Sami nie proszą o pomoc. Trzeba do nich podejść, zaproponować, poinformować, zapytać, czego im trzeba. Pomyśleć za nich.

Oto pani w wieku około 60 lat. Stoi w najbardziej hałaśliwym i tłumnym miejscu dworca – na wprost wejścia do sztabu wolontariatu. Kołysze wózkem niedawno otrzymanym w punkcie pomocy. W wózku maleństwo – śpi – co w tym zgiełku zakrawa na cud. Obok na dworcowym siedzisku dwoje dzieci w wieku 5 i 7 lat. Ich pociąg na zachód odjeżdża za parę godzin. Proponuję, by poszli do spokojnej noclegowni. Pani odpowiada, że jej córka – matka całej trójki – poszła kupić bilety. Biegnę do noclegowni sprawdzić, czy rodzina Czerwonoustej została na czas obudzona. Okazuje się, że tak i że przed chwilą zwolnili miejsca. Wracam do pani z wózkiem. Mówię, że mam dla nich super spokojne miejsce do przeczekania. Pójdą, ale córka jeszcze nie wróciła z biletami. Po chwili w końcu się pojawia, ale przynosi dla całej rodziny miski parującej zupy. Jedzą na stojąco. Staję w pewnej odległości, odwracam się bokiem i udaję, że wpatruję się w telefon, by nie poczuły się popędzane, choć w myślach wymawiam zakłęcia zaklepujące miejsca w noclegowni dla całej piątki. W końcu babcia podchodzi do mnie, kładzie mi rękę na ramieniu i mówi, że są gotowe. Zakłęcia działają i miejsca zastajemy wciąż wolne. Pytam się matki maleństwa o jego wiek. „Trzy miesiące?” – strzelam. „Dwa” – odpowiada.

Wracam do domu. Przekroczyłem swój limit dyżuru jedynie o pół godziny. Pilot do garażu nie działa, zamarzył w kieszeni kurtki na dworcu. Pies skacze z radości. Pora na długie i obustronnie wyczekiwany spacer.